

Rozdział 1

Dawne i nowe sprawy

Było cudowne, wiosenne popołudnie. Promienie znajdującego się jeszcze wysoko nad horyzontem słońca ozłacały radośnie dachy i wieże królewskiego miasta Sarmizy - stolicy Terravii i rozsypywały się tysiącem iskier, rozpraszane przez kryształowe okna Wysokiego Zamku. W mieście panował zwyczajny o tej porze dnia ruch i gwar, a w powietrzu unosiła się atmosfera spokoju i szczęścia.

Jakże wiele zmieniło się tutaj przez ostatnie kilka lat! Smutny, przeklęty kraj pełen nieszczęśliwych ludzi i budzące grozę Skalne Miasto, jakim była niegdyś za sprawą złego zaklęcia Sarmiza, przestały istnieć i przemieniły się z powrotem w kwitnące miejsce – a wszystko to za sprawą jasnowłosego chłopca i jego wiernych przyjaciół. Chłopiec ów przybył przed laty do Terravii z dalekich zachodnich krajów, niespodziewanie dla wszystkich – a w szczególności dla samego siebie – uwalniając nieszczęsną krainę spod panowania złego

czarnoksiężnika. Okazał się przy tym być zaginionym przed laty synem królewskim.

Historia ta, krążąc z ust do ust, zdążyła już zamienić się w ballady, śpiewane podczas uczt przez wędrownych muzykantów, w długie zaś zimowe wieczory opowiadano ją sobie w całej krainie. Ludzie, szczęśliwi i wolni, darzyli bowiem wielką miłością dobrego króla Eliana i jego odzyskanego syna.

Od tamtego czasu Dorian wydorósł i zmienił się. Nie był już zagubionym chłopcem, lecz młodzieńcem, o tych samych jednakże co dawniej jasnych włosach, opadających na twarz i przenikliwym spojrzeniu, które widziało więcej, aniżeli niektórzy mogliby sobie życzyć.

Na dworze ojca w pięknej Sarmizie czas upływał mu niesłychanie szybko na uczeniu się tego wszystkiego, co powinien wiedzieć i umieć przyszły władca, a w czym miał niejake zaległości. Nadrabiał je szybko, zyskując przy okazji także nieco więcej pewności siebie i stanowczości. Nauka zresztą nie była dla niego wcale przykrym obowiązkiem, a ćwiczenia rycerskie traktował raczej jak rozrywkę. Był

niezłym szermierzem, jednak ku jego nieustannej konfuzji w celnym strzelaniu z łuku nieustannie przewyższała go Flora.

Mieszkała ona na zamku i była traktowana przez króla Eliana i królową Vera-min niemalże jak córka. Ujmowała wszystkich swoją otwartością, wesołym usposobieniem i serdecznym śmiechem, wielu przeto młodzieńców wzdychało do niej mniej lub bardziej skrycie. Flora niewiele się tym przejmowała, zresztą królowa zapowiedziała stanowczo, że w żadnym wypadku nie wyrazi zgody na jej zamążpójście, zanim nie ukończy lat dziewiętnastu.

Brakowało jeszcze trochę do tych urodzin, więc dziewczyna każdemu z młodzieńców, który ośmielił się napomknąć o swoich uczuciach, przedstawiała gorliwie wolę królowej. Prawdziwy zaś powód, dla którego nie spojrzała na żadnego z nich, chowała głęboko w swoim sercu i tylko wierna przyjaciółka, kotka Izolda, domyślała się tego powodu. Lecz Izolda była wyjątkiem, gdyż przed jej bystrym, kocim wzrokiem niewiele rzeczy mogło się ukryć.

- Floro! – zawołał Dorian tego właśnie słonecznego, wiosennego popołudnia, ujrzawszy dziewczynę w oknie - może miałabyś ochotę na małą przejażdżkę?

- Może i tak. A dokąd?

- Chciałbym jutro odwiedzić naszego starego Zefiryndę, bo coś długo nie pokazuje się w Sarmizie.

- Racja! To niezły pomysł – stwierdziła Flora, wychylając się znad parapetu – ale musielibyśmy wyruszyć o świcie. Wolałabym dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

- Tak jest. To jak, jedziesz? A wiesz, że nawet Izolda postanowiła zaszczyścić mnie swoim niezastąpionym towarzystwem?

- Czyżbym w twoich słowach słusznie wyczuwała ironię, Dorianie? – odezwała się Izolda, zjawiając się swoim zwyczajem nie wiadomo skąd.

- Ależ skąd – zaprzeczył z niewinną miną – ale przecież nie lubisz smoka Zefiryndę – Dorian mrugnął porozumiewawczo w stronę Flory, nie uszło to jednak bystremu oku kotki. Skrzywiła się.

- Lubię, nie lubię, nie twój interes. A pojadę, bo tak mi się podoba – oświadczyła i odwróciła się z godnością, zamiatając puszystym ogonem.

Dorian i Flora uśmiechnęli się do siebie. Izolda mimo ostrego języka i nieco drażliwej natury miała wiele poczucia humoru, obydwójce jednak wiedzieli, że po prostu bała się trochę smoka Zefiryndy, ale za żadne skarby świata nie chciała się do tego przyznać. Choć przyzwyczaiła się trochę do jego wielkich, żółtych ślepiów i paszczy pełnej zębów, to jednak ciągle robiły one na niej niezbyt miłe wrażenie. Cóż, smoki zdecydowanie nie należą do najurodzawszych istot.

Nazajutrz wczesnym rankiem trójka przyjaciół wyruszyła w drogę. Wyprawa nie była daleka – jeśli wyjechało się konno o świcie i dobrze znało leśne ścieżki i skróty, to przed zapadnięciem zmroku można było dotrzeć do pieczary smoka. Dorian i Flora znali drogę

znakomicie, więc kiedy czerwone promienie zachodzącego słońca zaczęły zaglądać im w oczy, stanęli u wielkich, rzeźbionych wrót, zamykających wejście do smoczej pieczary.

Tu spotkało ich jednak rozczarowanie – wrota były zamknięta na cztery spusty i nikt nie odpowiadał na pukanie.

- A niech to – rzekł Dorian – albo jeszcze nie wrócił, albo wyruszył na nocną wyprawę, a w takim razie czeka nas sen pod gołym niebem.

- Na nocną wyprawę chyba jeszcze za wcześnie... Och, mam nadzieję, że nic mu się nie stało złego! – rzekła Flora z odrobiną niepokoju.

- Poczekamy jeszcze trochę, a potem...

Wtem usłyszeli ciężkie kroki i wkrótce z leśnej gęstwiny wynurzył się najpierw wielki, zielony pysk i palające w półmroku ogromne ślepia, a następnie cała reszta smoczego cielska. Na widok przybyłych ślepia zamrugały ze zdumienia, a z rozciągniętej w serdecznym uśmiechu paszczy wydobył się tubalny głos:

- Witam, witam, moi drodzy przyjaciele!
Co za niespodzianka! Ale, ale... kiedy przyjechaliście?...

- Właśnie przed chwilą i już zaczynaliśmy się niepokoić.

- Zupełnie niepotrzebnie. Mieliście zatem dużo szczęścia, gdybyście bowiem przyjechali wczoraj, czekałaby was noc pod gwiazdami, gdyż właśnie wracam z dłuższej wyprawy.

- A gdzież to byłeś? Na pewno opowiesz nam zaraz, umieramy z ciekawości! - powiedział Dorian beztrosko, nie zauważywszy wcale cienia, jaki nagle przemknął po obliczu smoka.

- Och, to dłuższa historia – odparł zagadkowo, otwierając wrota ogromnym kluczyskiem i zapraszając ich do środka.

Już wkrótce na ogromnym palenisku trzaskał wesoło ogień, bo noc była chłodna, a smok krzątał się zwawo po swym mieszkaniu, zastawiając stół. Wytoczył także swoim zwyczajem z najciemniejszego kąta pieczary beczułkę wybornego wina, które – jak zwykł powtarzać - chował tam tylko dla najmielszych gości.

Nie był jednak rozmowny. Co chwila patrzył w ogień zadumany i marszczył czoło, jak gdyby wśród tańczących płomieni spodziewał się znaleźć odpowiedź na jakieś bardzo ważne pytanie.

Dorian obserwował to od dłuższego czasu. W końcu nie wytrzymał.

- O co chodzi, drogi Zefirynie? – spytał – widać aż nadto wyraźnie, że coś cię trapi.

Smok westchnął, aż smużki dymu z jego nozdrzy uniosły się ku sklepieniu.

- No dobrze – rzekł – powiem wam. I tak właściwie miałem zamiar wam powiedzieć... Chociaż właściwie może nie powinienem? Może to tylko pogłoski? W zasadzie nie ma żadnych konkretnych podstaw... Może się okazać, że to tylko brednie, w które mogą uwierzyć chyba tylko leśne chochliki... One nie są zbyt roztargnione, jak wam wiadomo...

- Zefirynie, powiedzże wreszcie, o co chodzi! Teraz naprawdę nas przestraszyłeś – zawołała Flora.

Smok znowu westchnął.

- No tak, właściwie tak, ale jeśli...

- Ależ mów wreszcie!

- Dobrze, niech będzie – skapitulował – więc słuchajcie... Doszły mnie jakiś czas temu wieści, że ostatnimi czasy... - tu przerwał znowu i zaczerpnął tchu jak ktoś, kto szykuje się do niebezpiecznego skoku – że ostatnimi czasy widziano w Terravii Aldeiusa.

Wrażenie, jakie uczyniła ta wiadomość, było ogromne.

- To niemożliwe – wyszeptała Flora.

- Ano właśnie, mnie też się tak zdaje – rzekł szybko smok – i dlatego postanowiłem sam sprawdzić te pogłoski. Stąd moja wyprawa... Powąszyłem, popytałem tu i tam.

- I co?

- No i, muszę przyznać, nic. Zupełnie nic.

- Więc to na pewno tylko bajki – stwierdził Dorian – W Terravii już od paru lat panuje spokój, a ludzie zawsze muszą mieć coś, czego mogliby się bać. W Granicznej Krainie nasłuchiłem się niejednej historii o duchach i potworach z krańca świata. W Terravii będą teraz opowiadać o Aldeiusie.

- Oby tak było, jak mówisz – mruknęła Izolda.

- Izoldo, chyba nie masz wątpliwości! Aldeius zginął przecież pod Sarmizą.

- Zginął? Czy jesteś tego pewien?

Dorian nie odpowiedział.

- Ano właśnie. Nie jesteś pewien. A jeśli nie zginął? Nie ma dymu bez ognia, tyle wam powiem. Jeśli ktoś byłby ciekawy mojego zdania, to radziłabym mieć się na baczności.

- Ach, Izoldo, czy ty zawsze musisz widzieć wszystko w czarnych kolorach? Nie ma już w Terravii Aldeiusa i nie będzie – stwierdził Dorian, ale nie na tyle stanowczo, na ile sam by sobie tego życzył.

Dwa dni później goście smoka Zefiryna wyruszyli w drogę powrotną. Nie było już jednak

tak beztrąsko i radośnie – ciążyła im wieść, którą usłyszeli i chociaż mogła się okazać zupełnie nieprawdziwa, to jednak napęniała serca niepokojem.

Niewiele mówili po drodze. Choć nikt nie wspominał o tym ani słowem, dobrze wiedzieli, że myślą dokładnie o tym samym. Pierwsza nie wytrzymała Izolda, która nie należała do istot wytrwałych w milczeniu. Nie wiedząc, co właściwie powiedzieć, przypuściła atak:

- A cóż wam tak mowę odjęło?

Nie uzyskała odpowiedzi.

- Mówcie sobie, co chcecie, ale ja czuję, że coś się święci. Po prostu czuję i tyle...

- Ja też – powiedział nagle Dorian – czuję, że coś się wydarzy. I nawet wiem, co takiego – ojciec mnie zabije, jeśli nie dotrzemy dziś wieczór do Sarmizy.

- Co takiego?!

- To, co słyszycie. Właśnie sobie przypomniałem, że dziś mieli przybyć jacyś ważni goście. Nie wiem kto, ale ojcu bardzo zależało na mojej obecności. Zupełnie wyleciało mi to z głowy!

I popędził swego konia, a w ślad za nim Flora, jadąca zaś z nią Izolda skrzywiła się, jakby właśnie zjadła cytrynę.

Już otrąbiono zamknięcie bram na noc i strażnicy zaczęli spuszczać kratę, gdy na drodze zatętniły kopyta i podróżni wpadli do miasta niemalże w ostatniej chwili. Za murami zwolnili tempa i jechali już spokojniej w stronę zamku, który górował nad miastem.

Z daleka widać było, że odbywa się tam przyjęcie. W oknach płonęły lampy, cały dziedziniec był rzęsiście oświetlony i kręciło się po nim mnóstwo obcych ludzi. Byli w większości w czarnych płaszczach, u niektórych wyszywany srebrną nicią jaśniał herb, przedstawiający poskręcanego węża z otwartą paszczą. Dorian i Flora oddali konie stajennym i szli pomiędzy nimi, czując na sobie ich badawczy wzrok.

Młodemu księciu szczególnie nie podobali się ci ludzie. Wyglądali nieco cudzoziemsko, a w ich oczach dostrzegał chwilami błysk pogardy - a może tak mu się tylko zdawało po rewelacjach Zefiryna?...

Komnata, w której ucztowano, wypełniona była po brzegi. Dorian, zmieniawszy tylko strój podróżny na bardziej dworski, wszedł cicho bocznym wejściem i starał się ukradkiem zająć miejsce dla niego przeznaczone. Liczył, że ojciec nie zdążył jeszcze zauważyć jego nieobecności, a nie miał najmniejszej ochoty narażać się na królewski gniew. Eliau, choć serce miał dobre, wymagał wiele od syna, a afront uczyniony gościom uważał za szczególnie ciężkie przewinienie.

Król rzeczywiście zaczynał już się mocno niecierpliwić i wypatrywać Doriana, dojrzał go więc natychmiast, gdy tylko się zjawił. Przywołał go gestem dłoni do siebie, a następnie rzekł z groźną miną:

- Synu, czyż nie prosiłem cię o obecność na dzisiejszej uczcie?

- Wybacz mi, ojczu, dopiero co wróciliśmy z Florą od smoka Zefiryu...

- Dobrze już, dobrze, potem mi opowiesz, co słyhać u starego Zefiryu. A teraz chciałbym cię przedstawić komuś... oto Dorabit, księżniczka Velthuru z Szarej Doliny.

Dorian podniósł wzrok i dopiero teraz ujrzał przed sobą niezwykle piękną damę, która składała właśnie ukłon przed królem. Dorabit miała kasztanowe, wijące się włosy, jasną cerę i ciemne, wyraziste oczy. Dumnie trzymała głowę, a jej gesty były królewskie i władcze. Była bardzo piękna, lecz przez ułamek sekundy, gdy spotkały się ich oczy, Dorian spostrzegł w nich coś, co go zaniepokoiło, choć nie umiałby powiedzieć dlaczego. Lecz tym razem krótkotrwały niepokój został po chwili przyćmiony urodą księżniczki.

- Księżniczko – ciągnął król Elian – oto mój jedyny syn, książę Adriel.

W podobnie oficjalnych sytuacjach miał zwyczaj nazywać syna jego prawdziwym imieniem, choć Dorian tego nie lubił. Kłaniając się księżniczce, podał jej rękę w milczeniu i powiodł do stołu.

Biesiada przeciągała się do późna. Tymczasem Flora siedziała w swoim ulubionym

miejsku przy oknie komnaty, wpatrując się w migoczące światła miasta i jeszcze dalej, daleko, poza mury Sarmizy. Nie poszła na ucztę, choć mogła to zrobić i była pewna, że królowa byłaby wielce temu rada. Lecz wyprawa do lasu wywołała w niej wiele wspomnień i sprawiła, że Flora poczuła wyraźnie, jak wielki dystans dzieli ją od Doriana.

Była przecież tylko dziewczyną z wioski, która zupełnie przypadkiem wzięła udział w wielkich wydarzeniach, dziewczyną bez domu i rodziny. Wyrosła pod okiem kochanej królowej Vera-min na uroczą dziewczynę, pełną życia, wesołą i rozsądną. Może nie była wielką piękną, lecz wielu młodych rycerzy chętnie szukało jej towarzystwa, a robiliby to zapewne znacznie częściej, gdyby zachęcała ich do tego choć jednym słowem. Ale Flora od dworskiego życia i jego uroków wołała wyprawy do lasu, gonitwy, wycieczki w nieznane – dzieląc zresztą te upodobania z Dorianem. Wydawało jej się z początku, że właśnie to ich łączy – on także przecież wychował się na wsi, zakosztował prostego, zwyczajnego życia i chleba z pracy

własnych rąk, nie mając pojęcia o swym królewskim pochodzeniu. On także kochał uciekać poza mury Sarmizy i wspominać ich wielką podróż i przygodę. Lecz był jednak księciem, następcą tronu, przyszłym królem, słowem – już nie Dorianem z Granicznej Krainy, tylko Adrielem z Terravii. Zamek był jego domem, życie na dworze – jego przeznaczeniem.

Flora westchnęła, pogrążona w tych niewesołych rozmyślaniach. Już od dawna chodziła jej po głowie myśl, żeby wrócić do swojej rodzinnej wsi, coś ją jednak przed tym powstrzymywało i odkładała to postanowienie na później. Ale teraz był chyba właściwy moment.